

DWUJĘZYCZNOŚĆ

Nasze dwujęzyczne dzieci

Wszystkie drogi prowadzą do literatury



Pewna blogująca znajoma, żona-matka-pracownik, którą podczytuję, bo prócz zniewalającego poczucia humoru posiada wspaniały dystans do siebie i otaczającego świata, przyznała się ostatnio, że zaczęła ćwiczyć. W związku z czym rzuciła ostrzeżenie, że jest możliwe, iż wkrótce zobaczymy ją w koronie miss świata. Supozycję tę oparła na analogiach do przeszłości. Swego czasu, tak w każdym razie twierdzi, nie była wielką fanką dzieci, a nawet nie była ich fanką wcale i nie wyobrażała sobie siebie w roli niewiasty z pieluchą w dłoni. Dziś ma tych dzieci dwójkę i jest w nich zakochana na zabój. Pieluchy, gdy trzeba było, zmieniała koncertowo, pupy i buzie wycierała z przyjemnością, do tego odkryła, że w macierzyństwie najbardziej odpowiada jej wariant "nadopiekuńczej kwoki" i bardzo jej w tej skórze dobrze. Po drugie uważała - w tej zadawnej przeszłości - że gotowanie jest dla wyłącznie ludzi, którym brak skrzydeł do innych, ważniejszych spraw w życiu. Na przykład dla kur domowych.

Kura domowa naturalnie występowała w jej osobistym leksykonie jako epitet optymalnie najgorszy kojarzący się z wizjami, które dla większości współczesnych, wykształconych kobiet są problematyczne. No bo jak to: a) siedzieć przy dziecku i być na utrzymaniu męża? b) robić wszystko to samo, co robiła własna matka: spędzać życie na krzątaniu się, doglądaniu i pielęgnowaniu innych, byciu wiecznie zmęczoną?

Dzisiaj znajoma bloggerka gotuje aż się za nią kurzy i nawet prowadzi od czasu do czasu własne kursy kulinarne, na których rozwija skrzydła niczym sam albatros wędrowny (zoologiczny zwycięzca w konkursie na największy zasięg skrzydeł na świecie!). Jaki z tego wniosek? Nie ważne, że nie myślała o sobie w kategoriach kobiety o missowskich parametrach. Chodzi o to, że pewnie nią zostanie, skoro wzięła się za plan areobiczny pewnej skutecznej (świadczą o tym zdjęcia i płyty) guru od urody i fitnessu.

Czytając jej refleksje jak zwykle uśmiechałem się do łez, a potem, zniechęca doznałam olśnienia. Wróciłam do gazety, która leżała obok rozłożona w czasie porannego czytania. Z pierwszej strony ryczał do mnie przez wuwuzelę nagłówek: Amerykańskie dzieciaki spożywają mniej cukru niż 15 lat temu (org.: America's kids eat, drink less sugar than 15 years ago). O Boże, pomyślałam. A jednak! Jednak jestem człowieczą jaskółką. Teraz już nie mam wątpliwości. Już wyjaśniam.

Wiele lat temu, o czym pisałam już tutaj, podjęłam decyzję o zakończeniu relacji z telewizorem w myśl idei, by moje dzieci chować zdrowiej i roztropniej. Psychologowie nie zarzucali jeszcze wtedy pism dla ro-

dziców uwagami o niekoniecznie pozytywnym wpływie telewizji, nawet tej "edukacyjnej" na rozwój dziecka, szczególnie tego najmłodszego. Dziadkowie rytualnie, ku ucieście rodziców (odciążając nas finansowo!), przyjeżdżali już w pierwsze odwiedziny ze "złotą" kolekcją bajek Disneya na DVD, a prawo statystycznego amerykańskiego dziecka do obcowania z telewizorem było absolutnie konstytucyjne, sprawa nie podlegała dyskusji. Uprałam się i przecze-kałam wszystkie krytyki i spojrzenia dające mi jasno do zrozumienia, że coś jest ze mną nie tak, a z moimi dziećmi będzie na pewno, skoro nie gapią się regularnie w ekran. Przeżyłam i dożyłam: kilkanaście lat po moim "cięciu więzów z tiwi" wspomniane prawo dawno straciło swą świętość, a w rosnącej liczbie domów zmienia się raczej w przywilej ustalany na poziomie jednostkowym, rodzinnym. Mainstreamowa retoryka pławi się tymczasem w basenie światopoglądu o konstytucyjnym prawie dziecka, ale do życia w wolności od telewizyjnych śmieciowych treści, szczególnie tych płynących ze zniekształcającej świat reklamy.

Gdy urodziła się pierwsza córka zaczęłam jeździć na drugi koniec miasta do sklepu typu co-op, bo znajomi podpowiedzieli, że sprzedawano tam pierwsze na rynku, nieśmiało produkowane przez mikroskopijne rodzinne farmy, soki i przeciery dla dzieci ze znakiem rozpoznawczym: "składniki nie przyskane, nie zawiera syropu kukurydzianego" (ang.: high fructose corn syrup). Reszta Ameryki w tym czasie wciąż hurtowo wrzucała do koszyków produkty z półek w najbliższym supermarkecie, gdzie nawet do słonych paluszków dodawany jest cukier lub słodzik, a co dopiero do produktów dla dzieci. Owsiankę na śniadanie gotowałam dzieciom sama starymi metodami przodków z Irlandii, z drugiej strony, gdy tylko dzieciom wyrosły zęby, wróciłam do przyjemnej polskiej tradycji śniadań złożonych z kanapek z serem lub wędliną. Nie pamiętam kiedy ostatni raz miałam w spiżarni "ukochane" (jak głosi reklama) przez wszystkie dzieci (vide: dane z reklamy) fruit loops, frosted krispies, choco flakes. Bardzo możliwe, że nie miałam ich tam nigdy. Przez jakiś czas miałam męża, który pijał soft-drinki, zwłaszcza kultową colę, ale gdy we wczesnym stadium kariery zawodowej (odznaczającej się brakiem ubezpieczalni dentystycznej), nagle zaczęły mu się robić dziury w zębach, a bardzo mądry dentysta bardzo starej daty potraktował go nagą prawdą o zależnościach między zdrowiem szkliwa a zawartością puszek, także mąż zaczął zwracać uwagę na składniki żywności i napojów.

Na zakończenie roku przedszkolnego czterolatki - równo dekadę temu - starsza córka była jedyną w grupie, która nie знаła smaku serwowanego na przyjęciu przedszkolnych absolwentów Sprite'a. Spróbowała i było to tak mocne doświadczenie, że kolejna degustacja nastąpiła dopiero w gimnazjum. Gdy jednak pomagałam w tym roku w kuchni w czasie przerwy lunchowej w klasie młodszej córki - zauważyłam - tadam! - że z trzydziestki dzieciaków tylko dwoje wyjęło z pudełek napoje w puszkach. Reszta piła mleko (i to zwykle, a nie czekoladowe czy smakowe), soki, w tym wiele od znanych mi, wolnych od słodzików i syropu kukurydzianego marek, a większość działy w ogóle przyniosła ze sobą tylko wodę. Już wtedy nękały mnie podejrzenia, że oto "znów wyszło na moje". Nagłówek w gazecie potwierdził, że istotnie.

Proszę Państwa, idąc podobną

drogą dedukcji co znajoma bloggerka widzę, że nie mam wyjścia tylko oszczędzić Państwu kilku lub kilkunastu lat czekania na kolejną "cywilizacyjną zmianę" i powiedzieć już dzisiaj czym ona będzie. Otóż - powrócimy do czytania! Tak, dobrze Państwo przeczytali. Ale nie czytania komentarzy od "lajkujących" nas "friendsów" na fejsie (inny znajomy blogger używa na tę okoliczność przesympatycznego określenia "ryjoksięga"), ani czterdziestego sms-a w ciągu ostatniej godziny od innych friendsów (bo im się nudzi i chcą zabić czas), ale czytania staroświeckiego, pełnokrwistego, fullswingującego - czytania literatury! Ze stronami, rozdzielkami, częściami, ciągami dalszymi. Dla jednych będą to wciąż woluminy z tradycyjnymi, szeszczącymi kartkami, dla innych czytniki wszelkiej maści, może nawet - mówimy wszakże o przyszłości - jakieś "wyświetlacze" pod postacią pierścienka z inteligentnym oczkiem, projektujące na każdą powierzchnię, w tym ścianę w łazience naprzeciwko wanny, wszak czytanie w wannie to jak najlepsza na świecie reklama czytania w ogóle.

Z czego to wnoszę?

Do części z moich osobistych impulsów, które nigdy mnie nie przekonały, że wystarczy dać fejsowi szansę, a zagospodaruje w satysfakcjonujący sposób cały mój wolny czas i jeszcze zorganizuje życie towarzyskie. I że w takim układzie literatura, której trzeba poświęcać czas po prostu odejdzie w niebyt na zasadzie "kolei dziejów".

Wnoszę to z konkretnych obserwacji dorosłych znajomych, ale zwłaszcza dzieci - moich własnych oraz niektórych znajomych. Po przygodzie z fejsem, esmesomanią i kilkoma innymi "społecznościowymi" wynalazkami współczesności właśnie dzieci, częściej nawet niż dorośli wracają do literatury. Otoczone czym dusza zapagnie, tonące po kostki w najatrakcyjniejszych gadżetach świata, przed snem sięgają jednak po zwykłą, nie błyszczącą, nie oferującą żadnych poziomów zręcznościowych, wydaną na papierze klasy drugiej lub nawet gorzej, książkę. O ile my, dorośli, potrafimy nasze impulsy, przecucia czy ciągoty w racjonalny i świadomy sposób w sobie zagłuszać, o tyle dzieci zwykle za tymi impulsami idą, poddają się im. Impulsywna, podświadoma potrzeba literatury nie wynika z niczego. Mamy ją jako jednostki myślące predysponowane gatunkowo do samodzielnego i twórczego myślenia najprościej rzecz ujmując - w genach. Dowody tej potrzeby otaczają nas zewsząd i ciągną się sznurkiem w przeszłość aż po początek ludzkich dziejów. Od zapisków naskalnych, po woluminy w muzeach, po skwapliwie chowane przed światem na dnie szuflad i szaf próbki własnej twórczości, którą niemal każdy z nas, bez względu na miejsce zamieszkania, popełnił przynajmniej raz w życiu. Literatura i sztuka, podobnie jak życie, to samodzielną opowieść. Podobnie więc jak życie stanowią wartość niezależną, oryginalną, samą w sobie. Postęp, który wypracowujemy służy innym celom: usprawnieniu komunikacji i udoskonalaniu metod przekazu wartości i informacji - w tym, jakie to ciekawe - treści literackich! Technologia sama w sobie wartością jednak nie jest (choć pewnie znaleźliby się tacy, którzy chcieliby się ze mną na ten temat pospierać) i to tłumaczy najlepiej dlaczego każdy nowy wynalazek po pewnym czasie "się opatruje", zaczyna nudzić.

Przyda się tutaj mała opowieść z naszego ogródka. Wiosenne porządki na grządkach, do których wszyscy



lubią się wysypywać zwłaszcza w weekendy, sprzyjają sąsiedzkim pogawędkom. I tak, przy takiej właśnie okazji, między sąsiadem, ojcem 15-letniej licealistki, a Starszą, wywiązała się ostatnio poniższa wymiana myśli:

- Ty też siedzisz z palcami przyklejonymi do ekranu? (mówimy o smartfonie - ESM) Stephanie wyrabia normę kilkadziesiątu esemesów w ciągu dnia!
- Nie, dlaczego?
- Nie piszesz do znajomych w każdej wolnej chwili?
- W każdej wolnej chwili to wolę poczytać. Ze znajomymi piszę wtedy, gdy coś się dzieje.
- Na serio?
- Serio. Poza tym dopiero jak coś przeczytam i jak moi znajomi też coś przeczytają to jest o czym rozmawiać. W przeciwnym razie jest nudno i żaden smartfon ani fejsbuk tego nie zmieni...

"Jaskółkami" tej zbliżającej się rewolucji są dla mnie także doniesienia z "cywilizacyjnego frontu". Nauczyciele deklarują, że obecni podstawówkowie czytają więcej niż ich rówieśnicy sprzed kilku lat, za co odpowiadają nie tylko lepsze programy nauczania, ale i sami rodzice.

Ci, po kilkunastu latach własnej, słabej fascynacji technologią, zaczynają do niej nabierać dystansu i co się z tym wiąże bardziej kontrolować czas spędzany przez dzieci przed komputerami, w tym na grach, nawet etykietowanych jako "edukacyjne". Dekady doświadczenia przekładają się na konkluzję, że wbrew założeniom (speców od marketingu na rynku gier) ten rodzaj edukacji i rozrywki nie podwyższa nikomu ilorazu inteligencji, a nawet jakby wręcz przeciwnie. Nieprzypadkowo akcja "Read Aloud To Children" znana w Polsce jako "Cała Polska Czyta Dzieciom", a na naszej ziemi polonijnej właśnie się rozpoczynająca pod nazwą "Cała Polonia Czyta Dzieciom" nadeszła i odniosła sukces właśnie teraz, w czasach "smartfonizacji i komputeryzacji".

Wszystkie drogi prowadzą do literatury. Zawsze prowadziły. I zawsze będą.

Artykuły Elizy Sarnackiej-Mahoney i wywiady z nią o tej tematyce ukazują się co dwa tygodnie. Osoby chętne do zgłoszenia swoich pytań lub uwag prosimy o kontakt: redakcja@gazetagazeta.com lub 416-262-0610.

Przed Sądem Rejonowym w Żywcu Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 1261/13 toczy się sprawa z wniosku Jana Setla i Marii Setla o stwierdzenie nabycia własności położonej w Radziechowach działki oznaczonej numerem 3872/13 o pow. 0,16 ha, objętej jednostką rejestru nr 1515, w trybie ustawy z dnia 26.10.1971 r. o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych (**uwłaszczenie**) na rzecz Jana Setla i Marii Setla.

Działka objęta wnioskiem odpowiada parceli gruntowej 1.kat.3872/13 gminy katastralnej Radziechowy, objętej LWH 2106 od KW BB1Z/000126617/5. W księdze tej jako właściciele figurują Tomasz Galica i Maria Galica, którzy w 1928 r. wyjechali do Kanady i prawdopodobnie tam zmarli.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, roszcujących sobie pretensje do działki objętej wnioskiem, a w szczególności następców prawnych Tomasza Galica i Marii Galica, aby zgłosili w Sądzie Rejonowym w Żywcu swoje roszczenia do działek objętych wnioskiem w terminie jednego miesiąca od daty dokonania ogłoszenia, pod rygorem pominięcia tych roszczeń w dalszym postępowaniu.



Sp. mgr inż. Janusz Kloc

Odszedł od nas na wieczny spoczynek 6 marca 2014 r. w Toronto o czym zawiadamiają pogrążeni w smutku i bólu żona, dzieci i wnukowie

Janusz urodził się w Polsce 30 maja 1924 r. Walczył w podziemiu w czasie okupacji hitlerowskiej. Był aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Majdanku, a potem w Buchenwaldzie aż do uwolnienia przez wojska amerykańskie. Po ukończeniu Politechniki Warszawskiej z tytułem inżyniera magistra inżynierii sanitarnej zarządzał projektami różnych biur konstrukcyjnych w Polsce. Był wydelegowany przez Rząd Polski na Kubę w roli konsultanta. W roku 1967 wyemigrował do Kanady i po otrzymaniu dezygnacji Professional Engineer założył własną firmę inżynierską. W ciągu 40 lat pracy zawodowej w Kanadzie wykonał setki projektów dla prywatnych i państwowych inwestorów. Między innymi był projektantem instalacji sanitarnych w Domu Kopernika, w kościele Maksymiliana Kolbe i wielu szkół dla Toronto Board of Education. Otrzymał nagrodę Mississauga Urban Design Award za Toronto Front St. Pumping station design.

Janusz był wspaniałym ojcem, dziadkiem, człowiekiem o wielkim sercu. Wielce szanowany i lubiany przez licznych przyjaciół zawsze był otoczony kochającą Rodziną. Był dzielny i silny psychicznie gdy w ostatnich latach choroba zmuszała go do częstych pobytów w szpitalu.

Janusz pozostanie na zawsze w naszych sercach i naszej pamięci!!!

Żona Hanna Kloc z rodziną